

Mack Reynolds, Fredric Brown

Szcześliwy zakończenie

(Happy Ending)

Fantastic Universe, September 1957

Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.

© Public Domain

This text is translation of the shortstory "Happy Ending" by Fredric Brown and Dallas McCord Reynolds, published by Project Gutenberg, June 22, 2009 [EBook #29206]

According to the included copyright notice:

"Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed."

It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.

*Wokół tego człowieka zawałił się świat – świat, który już nigdy nie miał
wykrzykiwać sławiących go peanów. Wypalone miasta były ciche i martwe.
Powykręcane ciała i powykręcane dusze wysyłały mu ostatnie pozdrowienia w
śmierci. A teraz pozostał sam, otoczony przez wspomnienia, czekając w
samotności...*

*Czasami dziwacznie ukształtowane wenusjańskie drzewa, zdawały się coś do
niego mówić, ale ich głosy były delikatne. Były lojalnymi istotami.*

W szalupie ratunkowej, która wystartowała na dół, z krążownika kosmicznego, znajdowało się czterech mężczyzn. Trzech z nich nadal miało na sobie mundury Straży Galaktycznej.

Czwarty siedział na dziobie niewielkiego pojazdu, spoglądając na dół, na ich cel. Siedział przygarbiony i milczący, dokładnie opatulony w płaszcz, mający chronić go przed chłodem przestrzeni kosmicznej – płaszcz, którego po dzisiejszym poranku nigdy więcej już nie będzie potrzebował. Brzeg kapelusza nasunął sobie mocno na czoło i spoglądał na zbliżającą się ziemię przez okulary o przyciemnionych szklach. Większość dolnej części jego twarzy, pokrywały bandaże opatrunku, założonego tak jakby miał chronić złamaną szczękę.

Uświadomił sobie nagle, że teraz, kiedy odlecieli już z krążownika, ciemne okulary nie są mu już potrzebne. Zsunął je z twarzy. Po szarościach, jakie jego oczy już od tak dawna, oglądały przez te okulary, żywość jaskrawych kolorów, uderzyła go niemal jakby obuchem. Zamrugał powiekami i ponownie zaczął się przypatrywać.

Szybko obniżali swój lot w kierunku widocznej linii brzegowej, plaży. Piasek był tak oślepiająco, wręcz nieprawdopodobnie biały, jaki nigdy nie był na jego rodzinnej planecie. Do tego błękit nieba i wody, oraz zieleń krawędzi fantastycznej dżungli. Kiedy bardziej się zbliżyli, w zieleni lasu można było dostrzec czerwony rozbłysk, i nagle zdał sobie sprawę, że to musi być *marigee*, na wpół inteligentna wenusjańska papuga, kiedyś bardzo popularne zwierzę domowe w całym układzie słonecznym.

W całym układzie, krew i stal spadała z nieba, porywając ze sobą w pożogę planety, dzisiaj jednak to wszystko już się skończyło.

A teraz to. Tutaj, na ten zapomniany skrawek niemal kompletnie zniszczonego świata, wojna w ogóle nie dotarła.

Jedynie w jakimś miejscu podobnym do tego, mógł znaleźć bezpieczną przystań. Gdzie indziej -- a w zasadzie wszędzie -- groziło mu uwięzienie, albo, co bardziej prawdopodobne, śmierć. Nawet tutaj było

niebezpiecznie. Trzech marynarzy z załogi krążownika, wiedziało kim jest. Być może, pewnego dnia, których z nich zacznie mówić. Wtedy przybędą po niego, nawet tutaj.

To jednak było ryzyko, którego nie był w stanie uniknąć. A szanse na sukces nie były takie złe, ponieważ jedynie trzech ludzi w całym układzie słonecznym, wiedziało gdzie jest. A cała trójka, byli to lojalni głupcy.

Szalupa ratunkowa łagodnie spoczęła na ziemi. Właz otworzył się, i pasażer wyszedł na zewnątrz, robiąc kilka kroków po plaży. Odwrócił się chwilę czekając, aż dwóch kosmonautów, którzy kierowali pojazdem podejście z jego skrzynią i zanieś ją przez plażę, do baraku z ocynkowanej blachy falistej, tuż na krawędzi drzew. Barak kiedyś był stacją przekaźnikową radaru kosmicznego. Obecnie, znajdujący się w nim sprzęt, dano temu został już zabrany, a maszt anteny zdjęty na ziemię. Ale szopa nadal stała. Na razie stanie się on jego domem. Na dłuższą chwilę. Dwóch mężczyzn wróciło do szalupy, przygotowując ją do odlotu.

Koło niego stał tylko kapitan, którego twarz zmieniła się w sztywną maskę. Wydawało się, że prawe ramię kapitana tylko z najwyższym wysiłkiem pozostaje nieruchomo, przy jego boku, ale ten wysiłek był wynikiem wyraźnych rozkazów. Żadnych salutów.

Głos kapitana również był sztywny i całkowicie wyprany z emocji.

– Numerze Jeden...

– Cisza! – A potem, mniej ostro: – Odejdźmy dalej od łodzi, zanim znowu zacznie pan chlapać językiem. Tutaj. – Podeszli do baraku.

– Ma pan rację, Numerze...

– Nie. Już nie jestem Numerem Jeden. Zanim podda pan pański statek, musi pan nadal myśleć o mnie jako o *panu* Smith, pańskim kuzynie, którego przywiózł pan tutaj, z powodów jakie podał pan swoim młodszym oficerom. Jeżeli będzie pan tak o mnie *myślał*, mniej prawdopodobne, że coś wyślizgnie się panu z ust.

– Czy jest jeszcze coś, co mógłbym dla pana zrobić... panie Smith?

– Nic. Odlatujcie już.

– Czy otrzymałem rozkaz poddania...

– Nie otrzymał pan żadnych rozkazów. Wojna jest skończona, przegrana. Sugerowałbym zastanowić się, do którego z portów kosmicznych pan się uda. W niektórych z nich może pan uzyskać humanitarnie warunki kapitulacji. W innych...

Kapitan skinął głową.

– Inne wręcz kipią z nienawiści. Tak. Czy to wszystko?

– To wszystko. I, panie kapitanie, pańskie przebicie się przez blokadę, zabezpieczenie zapasów paliwa *en route*, stanowi przykład najwyższych umiejętności i odwagi. W nagrodę mogę oferować panu jedynie moje podziękowania. Ale teraz proszę już lecieć. Żegnajcie.

– Nie żegnajcie – wybuchnął impulsywnie kapitan, – ale *hasta la vista, auf Wiedersehen, do zobaczenia...* czy pozwoli mi pan, po raz ostatni zwrócić się do pana we właściwy sposób i oddać honory?

Mężczyzna w płaszczu wzruszył ramionami.

– Jak pan sobie życzy.

Kapitan strzelił obcasami i zasalutował w sposób, który niegdyś witano Cezarów, a później pseudo-aryjczyków z 20-tego wieku, a teraz, za ledwie do wczoraj, jego, określanego jako *ostatni z dyktatorów*.

- Do widzenia, Numerze Jeden!
 - Do widzenia – odparł bez emocji.
-

Pan Smith, czarny punkcik na oślepiająco białym piasku, obserwował jak szalupa ratunkowa rozplywa się stopniowo w błękitnie nad głową, a w końcu znika we mgle wyższych warstw atmosfery Wenus. W tych wiecznych mgłach, które zawsze tam się unosiły, kpiąc z jego porażki i powiększając dręczącą go samotność.

Kolejne dni ciągnęły się z wolna, odchodząc w przeszłość. Słońce świeciło przytłumionym światłem, *marigee* skrzeczały od wczesnego poranka, przez cały dzień, aż po zmierzch, a czasami pojawiały się sześćcionogie *baroony*, podobne do małych zwierzęta nadrzewne, które wrzeszczały coś na niego. Od czasu do czasu pojawiały się i przemijały kolejne ulewy.

Podczas nocy, gdzieś z oddali, dolatywały odgłosy dudnienia w bębny. Nie wybijały one wojennych rytmów marszowych, ani groźnych nut gwałtownej nienawiści. Po prostu bębny, oddalone o wiele mil, wybijające rytm dla tańców tubylców, albo dla egzorcyzmów odstraszających, być może, nocne demony leśne. Zakładał, że ci Wenusjanie również mają swoje przesady, tak jak wszystkie inne rasy. Bębny nie stanowiły dla niego żadnego zagrożenia, w ich rytmie było coś jakby bicie serca dżungli.

Pan Smith wiedział o tym, ponieważ chociaż określenie miejsca przeznaczenia, było kwestią raczej dosyć pośpiesznego wyboru, to jednak miał dostatecznie dużo czasu, aby przeczytać kilka dostępnych pod ręką raportów. Tubylcy byli nieszkodliwi i przyjaźnie nastawieni. Terrańscy misjonarze, już od pewnego czasu, mieszkali wśród nich -- przed wybuchem wojny. Byli oni prostą, słabą rasą. Rzadko wędrowali daleko od swoich wiosek. Operator radaru kosmicznego, który kiedyś zajmował barak, donosił, że nigdy nie widział żadnego z nich.

Uniknięcie spotkania z tubylcami, nie powinno więc sprawiać szczególnych problemów, a nawet jeżeli gdzieś ich spotka, nie powinno to być niebezpieczne.

Nie miał więc żadnych innych zmartwień, poza swoją goryczą.

Nie czuł goryczy na skutek żalu, ale z powodu porażki. Porażki poniesionej z rąk pokonanych. Ci przekłęci Marsjanie, którzy powrócili, po tym kiedy gnał ich przez pół tej ich cholernej pustynnej planety. Konfederacja Satelitów Jowisza, lądująca bez końca na rodzinnej planecie, przez całe dni i noce wysyłająca kolejne olbrzymie armady pojazdów kosmicznych, aby obrócić w proch i w pył jego potężne miasta. Pomimo wszystkiego, pomimo dziesiątek ultra-skutecznych tajnych broni które posiadał, pomimo desperackich wysiłków jego osłabionych armii, w skład których w większości wchodziłi mężczyźni przed dwudziestką albo po czterdziestce.

Zdrada nawet w jego własnej armii, pomiędzy jego generałami i admirałami. Utrata Luny, co oznaczało koniec.

Jego rodacy ponownie podniosą głowy. Ale nie teraz, nie po Armagedonie, nie za jego życia. Nie pod jego dowództwem, ani nikogo podobnego do niego. Ostatni z dyktatorów.

Znienawidzony przez cały układ słoneczny, i nienawidzący jego.

To było nie do zniesienia, chyba że w samotności. Przewidywał to wcześniej -- potrzebę samotności. Sam, był nadal Numerem Jeden. Obecność innych ludzi, zmuszałaby go do uznania swojego nowego marnego statusu. W samotności, jego duma pozostawała nienaruszona. Jego ego było nietknięte.

Długie dni i skrzeki *marigee*, szum fal rozbijających się o brzeg, *baroony* na drzewach, poruszające się cicho jak duchy i hałaśliwie wrzeszczące ostrymi głosami. Bębny.

Te wszystkie odgłosy i samotność. Ale może kompletna cisza byłaby jeszcze gorsza.

Ponieważ chwile ciszy, były nawet jeszcze bardziej głośnie. Wtedy gdy krążył nocą po plaży, w górze rozlegał się ryk silników odrzutowych i raketowych, statków huczących nad New Albuquerque, jego stolicą, w dniach poprzedzających jego ucieczkę stamtąd. Łoskot bomb, krzyki, krew i bezbarwne głosy przybocznych generałów.

To były dni, w których fale nienawiści podbitych narodów, uderzyły w jego kraj jak morskie fale sztormowe, uderzające w rozkruszone nabrzeżne klify. Całe ligi poza poobijanymi liniami frontów, dało się wręcz namacalnie wyczuć nienawiść i żądzę zemsty, jakby coś gęstego wisiało w powietrzu, powodując trudności w oddychaniu, a wszelkie rozmowy były daremne.

Do tego statki kosmiczne, silniki, rakiety, te przeklęte rakiety, których było coraz więcej każdego dnia i każdej nocy, a na każdą zestrzeloną, pojawiało się dziesięć nowych. Statki kosmiczne, spadające z nieba jak deszcz, zamieszanie, chaos i koniec wszelkich nadziei.

I wtedy uświadomił sobie, że słyszy również inny odgłos, słyszy go często i od dłuższego czasu. To był głos, który wykrzykiwał inwektywy, złorzeczył z nienawiścią, gloryfikował stalową wolę swojej planety oraz przeznaczenie człowieka i ludzi.

To był jego własny głos, który odepchnął fale od białego brzegu, zatrzymał ich mokry napływ na jego dziedzinę. Wrzeszczał w odpowiedzi do *baroony*, które odpowiadały milczeniem. A od czasu do czasu śmiał się razem ze śmiejącymi się *marigee*. Czasami dziwacznie ukształtowane drzewa wenusjańskie również coś do niego mówiły, ale ich głosy były cichsze i spokojniejsze. Drzewa były uległe, były dobrymi poddanymi.

Chwilami przez głowę wędrowały mu różne fantastyczne myśli. Rasa drzew, czysta rasa drzew, która nigdy nie mieszała się z innymi, które zawsze stały pewnie i mocno. Pewnego dnia drzewa...

Ale to był tylko sen, fantazja. Bardziej realne były *marigee* i *kify*. To one właśnie najbardziej go prześladowały. Jedna z *marigee* wydawała się krzyżeć: „*Wszystko stracone!*”. Strzelał do niej chyba ze sto razy, z pistoletu igłowego, ale zawsze uciekała nietknięta. Czasami nawet nie raczyła odlecieć.

– *Wszystko stracone!*

W końcu przestał marnować igły. Ruszył w jej stronę, aby udusić ją gołymi rękoma. To był lepszy pomysł. Podczas kolejnej próby, była to chyba tysięczna, złapał ją i zabił, na jego rękach pojawiła się ciepła krew, a wokoło fruwały pióra.

To powinno zakończyć sprawę, ale stało się inaczej. Teraz dookoła krążyło kilkanaście *marigee*, które wrzeszczały, że wszystko stracone. Być może te kilkanaście było razem ze sobą. Tak więc mógł co najwyżej grozić im wyciągniętą pięścią, albo rzucać w nie kamieniami.

Kify, wenusjański odpowiednik ziemskich mrówek, kradły mu jedzenie. Nie miało to co prawda większego znaczenia, ponieważ wokół było pełno żywności. W baraku był jej cały magazynek, przeznaczony do uzupełnienia zapasów krążownika kosmicznego, i nigdy nie wykorzystany. *Kify* nie były w stanie się do niej dostać, dopóki nie otworzył puszek, ale wtedy wyjadały wszystko, co w niej pozostało, chyba że zjadł ją od razu całą. To nie miało znaczenia. Było mnóstwo puszek. A w dodatku zawsze miał też świeże owoce z dżungli. Zawsze była na nie pora roku, ponieważ nie było tutaj pór roku, poza deszczowymi.

Ale *kify* spełniały też dla niego pewną pożyteczną rolę. Utrzymywały go przy zdrowych zmysłach, dając mu coś namacalnego, coś zwykłego, co mógł nienawidzić.

Och, początkowo oczywiście to nie była nienawiść. Zwyczajne rozdrażnienie. Z początku zabijał je w sposób zbliżony do rutynowego. Ale one ciągle wracały. Zawsze wszędzie było pełno *kifów*. W spiżarni, gdziekolwiek by ją nie zrobił. W łóżku. Wstawił nogi pryczy do naczyń wypełnionych benzyną, ale *kify* ciągle dostawały się do środka. Może spadały z sufitu, chociaż nigdy nie przyłapał ich na tym, jak to robią.

Nie dały mu spać. Czuł jak biegają po nim, nawet jeśli spędził wcześniej kilka godzin, wybierając je z łóżka, w świetle karbidowej latarni. Biegały, łaskocząc go małymi nóżkami, tak że nie mógł spać.

Stopniowo zaczynał ich coraz mocniej nienawidzić, a nocne niedole spowodowały, że dni stały się łatwiejsze do zniesienia, ponieważ w końcu miał jakiś pochłaniający go bez reszty cel. Zabijanie *kifów*. Wyszukiwał robione przez nie dziury, cierpliwie badając każdy skrawek podłogi, lejąc benzynę do każdej dziurki i dookoła niej na ziemi, czerpiąc dziką satysfakcję z myśli o skręcających się na dole w agonii, zwierzętach. Zabrał się za polowanie na *kify*, rozdeptując je. Powstrzymać je. Musiał zabić miliony *kifów*.

Zawsze jednak pozostawało ich równie dużo, co przedtem. Ich liczba zdawała się nigdy nie spadać, nawet o włos. Tak jak Marsjan -- tylko że w przeciwieństwie do Marsjan, one się nie odwzajemniały.

Po ich stronie stała siła biernego oporu olbrzymiej płodności, która nieprzerwanie produkowała nowe *kify*, niesamowite ich krocie, miliardy

zastępujące miliony. Poszczególne *kify* mogły zostać zabite, i z ich zabijania odczuwał dziką satysfakcję. Zdawał sobie jednak sprawę, że jego metody niczego nie dawały, poza samą przyjemnością i zajęciem jakiego mu dostarczały. Czasami przyjemność bladła, w cieniu bezradności, i wręcz marzył o zmechanizowanych środkach do ich zabijania.

Uważnie przeczytał wszystkie materiały o *kifach*, jakie znajdowały się w jego niewielkiej biblioteczce. Były one zadziwiająco podobne do mrówek z Terry. Tak bardzo, że pojawiały się nawet spekulacje o powiązaniach między nimi -- to akurat niespecjalnie go interesowało. Jak można je zabijać, *en masse*? Raz do roku, na krótki okres, przyjmowały one postać armii mrówek z Terry. Wychodziły ze swoich dziurek, w niezliczonych rzeszach osobników, i idąc w wielkim żarłocznym marszu, wymiatały wszystko co im stanęło na drodze. Kiedy o tym przeczytał, oblizął wargi. Być może ta sposobność pozwoliłaby mu je niszczyć, niszczyć i *niszczyć*.

Niemal. Pan Smith niemal zapomniał o innych ludziach, układzie słonecznym i o tym, co się wydarzyło. Tutaj, na tej nowej planecie, był tylko on i *kify*. Baroony i marigee się nie liczyły. Nie miały żadnego porządku, ani systemu. Ale *kify*...

Przez intensywną warstwę jego nienawiści, powoli zaczął przesączać się niechętny podziw. *Kify* były istotami naprawdę totalitarnymi. One wprowadzały w praktykę, to co on głosił potężniejszej rasie. Praktykowały to z gruntownością i bezkompromisowością przekraczającą zdolności zrozumienia człowieka.

Ich kompletne zanurzenie jednostki w społeczeństwie, absolutna bezwzględność prawdziwych zdobywców, doskonała bezinteresowna odwaga prawdziwych żołnierzy.

Ale one wchodziły mu do łóżka, do ubrania, do jego jedzenia.

Roily się na nieznośnie łaskoczących nóżkach.

Nocami spacerował po plaży, a dzisiaj właśnie była jedna z tych hałaśliwych nocy. Słychać było wysoko latające, wyjące nad głowami, pojazdy odrzutowe, unoszące się w górze, na zalanym księżycowym światłem niebie, a ich cienie cętkowały czarną powierzchnię morza. Samoloty, rakiety, platformy odrzutowe, to właśnie one zniszczyły jego miasta, obróciły jego szlaki kolejowe w stosy poskręcane żelastwa, zrzuciły swoje bomby H na większość jego najważniejszych fabryk.

Pogroził im pięścią i zaczął wykrzykiwać w kierunku nieba obelgi.

A kiedy już przestał wrzeszczeć, na plaży rozległy się głosy. W jego uszach zabrzmiał głos Conrada, tak jak owego dnia, kiedy Conrad wszedł do pałacu z białą twarzą, i zapomniał mu oddać salut.

- Numerze Jeden, w Denver mamy wyłom! Toronto i Monterey są w niebezpieczeństwie. A na innych półkulach... - Głos mu się załamał. - ... ci przekłęci Marsjanie i zdrajcy z Luny ciągną przez Argentynę. Inni wylądowali w pobliżu Nowego Piotrogradu. To kompletna klęska. Wszystko stracone!

Głosy krzyczące:

- Numer Jeden, *hail!* Numer Jeden, *hail!*

Całe morze histerycznych głosów.

- Numer Jeden, *hail!* Numer Jeden...

Jeden z nich był głośniejszy, mocniejszy, bardziej gorączkowy od innych. Wspomnienie jego własnego głosu, wykalkulowanego, ale natchnionego, takiego jaki słyszał na nagraniach swoich własnych przemówień.

Głosy skandujących dzieci:

– Dla Ciebie, o Numerze Jeden...

Nie mógł sobie przypomnieć reszty tych słów, ale to były przepiękne słowa. To było na spotkaniu w szkole publicznej, w New Los Angeles. To dziwne, że potrafił sobie przypomnieć, tu i teraz, każdy dźwięk i intonację swojego głosu, błyszczące zainteresowanie w dziecięcych oczach. To były tylko dzieci, ale one chciały zabijać i ginać, *dla niego*, przekonane do tego, że wszystko co jest potrzebne dla wyleczenia słabości rasy, to właściwy przywódca, za którym będzie się podążać.

– *Wszystko stracone!*

I nagle monstrualne pojazdy odrzutowe zaczęły pikować w dół i w nieubłagany sposób uświadomił sobie, jak czysty i wyraźny stanowi cel, tutaj na tle białej, zalanej światłem księżycy plaży. Musieli go widzieć.

Kiedy zaczął uciekać pod osłonę dżungli, szlochając ze strachu, słyszał za sobą crescendo motorów. Uskoczył w zbawczy cień gigantycznych drzew i chroniącą go ciemność.

Potknął się i upadł, podniósł się z powrotem i biegł dalej. Wkrótce jego oczy przyzwyczyły się do ciemniejszego światła księżycy, przebijającego się przez rozpościerające się nad głową konary. Jakieś poruszenie między gałęziami. Poruszenie i głosy w ciemnościach. Głosy w, i z ciemności. Szepty i okrzyki bólu. Tak, pokazał im jak zadawać ból i teraz ich udręczone głosy biegły razem z nim przez wysoką do kolan, mokrą od nocnej rosy trawę, rosnącą pomiędzy drzewami.

Noc wypełniła się odrażającymi odgłosami. Odgłosami czerwonymi od krwi, prawie namacalnymi dźwiękami, które niemal równie dobrze mógł *czuć*, jak widzieć i słyszeć. A po chwili jego oddech zaczął rzeźić i wszystko przytłumił dudniący odgłos, który jednocześnie wyznaczał puls jego serca i puls nocy.

Nie mógł już dłużej biec i musiał złapać się drzewa, żeby się nie przewrócić. Stał z drżącymi ramionami i twarzą wciśniętą w bezosobową szorstkość kory. Nie było wiatru, ale drzewo kołysało się do przodu i do tyłu, razem z jego ciałem.

Wtedy, równie nagle jak gaśnie światło po naciśnięciu przełącznika, hałas zniknął. Zapanowała zupełna cisza i w końcu poczuł się na tyle mocny, aby zwolnić uchwyt na drzewie oraz znowu stanąć prosto, aby się rozejrzeć i ocenić swoje położenie.

Każde drzewo było takie samo jak pozostałe i przez chwilę myślał, że będzie musiał tutaj zostać i poczekać, aż do zapadnięcia dnia. Wtedy przypomniał sobie, że szum fal powinien wskazać mu odpowiedni kierunek. Nasłuchiwał z natężeniem, i w końcu go usłyszał, cichy i dobiegający z dużej odległości.

I jeszcze kolejny dźwięk -- jakiego nigdy wcześniej nie słyszał -- również cichy, ale wydawał się dobiegać gdzieś z jego prawej strony i z całkiem bliska.

Popatrzył w tym kierunku i zauważył w górze pustą łąkę w koronach drzew. Na wolnej przestrzeni, wypełnionej światłem księżyca, trawa dziwnie falowała. Poruszała się, pomimo tego, że nie było najlżejszego nawet podmuchu wiatru, który mógłby nią kołysać. Na końcu polany znajdowała się niemal ostra krawędź, poza którą źdźbła zniknęły.

Ten dźwięk... brzmiał niemal jak szum morza, ale miał ciągły charakter. W zasadzie, był bardziej podobny do szelestu liści, tylko że nie było tam żadnych suchych liści, które mogłyby szeleścić.

Pan Smith zrobił krok naprzód i popatrzył pod nogi. Jeszcze więcej trawy pochylało się, przewracało i znikało, nawet w chwili kiedy na nią spoglądał. Poza poruszającą się krawędzią zniszczenia, znajdował się brązowy dywan złożony z ciał poruszających się *kifów*.

Rząd za rzędem, ustawiony w porządku szereg za szeregiem, maszerowały naprzód, nie napotykając oporu. Miliardy *kifów*, armia *kifów*, wyjadała sobie drogę przez noc.

Zafascynowany, przyglądał się im z góry. Nie było żadnego niebezpieczeństwa, ponieważ ich ruch był powolny. Cofnął się o krok, aby pozostać przed ich pierwszymi szeregami. A więc dźwięk, który słyszał, był odgłosem przeżuwania.

Z miejsca w którym stał, mógł dojrzeć tylko jeden brzeg kolumny, była to równa, starannie uporządkowana krawędź. Dyscyplina jaka obowiązywała, była znacznie bardziej ścisła dla osobników na zewnątrz, niż dla tych znajdujących się w samym środku.

Cofnął się o kolejny krok... i wtedy, zupełnie nagle jego ciało stanęło w ogniu, w kilku różnych miejscach. Straż przednia. Przed szeregiem, który wyjadał trawę.

Jego buty były całe brązowe od *kifów*.

Krzyżując z bólu, zawirował wokół siebie i zaczął uciekać, uderzając dłońmi w palące miejsca na ciele. Uciekając na oślep wpadł na drzewo, obijając sobie mocno twarz, a noc była cała szkarłatna z bólu i uderzeń ognistych pocisków.

Zataczając się uciekał dalej, niemal na ślepo, skręcając się i zdzierając z siebie w biegu ubranie.

A więc, to był ból. W jego uszach brzmiał ostry krzyk, który musiał być dźwiękiem jego własnego głosu.

Kiedy nie mógł już dłużej biec, zaczął się czołgać. Do tej pory, był już nagi i czepiało go się jeszcze tylko kilka *kifów*. Wybrany na ślepo kierunek ucieczki, zabrał go spory kawałek z drogi posuwającej się naprzód armii.

Siła strachu i wspomnienie nieznośnego bólu, pędziły go jednak dalej. Jego kolana były całe poobcierane i nie był w stanie już dalej się czołgać. Zdołał jednak podnieść się, stanął wyprostowany, na drżących nogach i zatoczył się do przodu. Złapał się drzewa i odepchnął się od niego dalej, tak by złapać się następnego.

Upadał i podnosił się, upadał ponownie. Gardło mu zaschło od wykrzykiwania pełnych nienawiści inwektyw. Krzaki i szorstka kora drzew, rozdzierały mu ciało.

Tuż przed świtem, zataczając się, na teren wioski przykuśtykał człowiek, nagi Ziemianin. Rozglądał się na wszystkie strony mętnymi oczyma, które zdawały się nie widzieć niczego i nie rozumieć niczego.

Kobiety i dzieci uciekały przed nim, nawet mężczyźni cofali się odruchowo.

Stał więc tam, ślaniając się, a niedowierzające oczy tubylców rozszerzały się ze zdziwienia, widząc stan jego ciała i pustkę w jego oczach.

Kiedy nie wykonał żadnego wrogiego ruchu, wenusjańscy humanoidzi znowu podeszli bliżej, tworząc wokół niego zdziwiony, rozgadany krąg. Niektórzy z nich pobiegli, żeby sprowadzić wodza i jego syna, którzy wiedzieli wszystko.

Szalony nagi człowiek otworzył usta, tak jakby miał zamiar przemówić, ale zamiast tego upadł na ziemię. Upadł tak, jak pada martwy człowiek. Ale kiedy przewrócili go na wznak, zobaczyli, że jego pierś unosi się i opada w ciężkim oddechu.

Wtedy pojawili się Alwa, stary wódz, i Nrana, jego syn. Alwa wydał kilka szybkich, energicznych rozkazów. Dwóch ludzi zaniosiło pana Smitha do chaty wodza, gdzie opiekę nad Ziemianinem przejęły żony wodza i jego syna, nacierając go kojącym i uzdrawiającym balsamem.

Jednak przez kolejne dni i noce, leżał bez ruchu, bez słowa, nie otwierając oczu, tak że nie wiedzieli, czy będzie żył, czy umrze.

Potem, w końcu otworzył oczy. I zaczął coś mówić, chociaż nie mieli pojęcia, o czym im opowiadał.

Przyszedł Nrana i zaczął się przysłuchiwać, ponieważ Nrana spośród nich najlepiej mówił i rozumiał język Ziemian. Był specjalnym protegowanym misjonarzy z Terry, którzy przez pewien czas wśród nich mieszkali.

Nrana słuchał przez pewien czas, ale potem pokręcił przecząco głową.

– Słowa – stwierdził, – słowa są z języka Ziemian, ale nic z nich nie rozumiem. Jego umysł nie jest w najlepszym stanie.

Stary Alwa odparł:

– *Aie*. Bądź blisko niego. Może kiedy jego ciało wyzdrowieje, jego słowa będą równie piękne jak Naszego-Ojca, który uczył nas w języku terrańskim o bogach i ich dobroci.

Tak więc dobrze się o niego troszczyli, a jego rany zaczęły zdrowieć, aż w końcu nadszedł dzień, w którym otworzył oczy i zobaczył przystojną niebieskoskórą twarz siedzącego koło niego Nrany. Nrana powiedział delikatnym tonem:

– Dzień dobry, panie Człowieku z Ziemi. Czuje się pan już lepiej, czy nie?

Nie było żadnej odpowiedzi i tylko głęboko zapadnięte oczy człowieka, leżącego na macie do spania, spoglądały na niego gniewnym wzrokiem. Nrana widział, że te oczy nie były jeszcze do końca normalne, ale widział również, że bijące z nich szaleństwo, nie było już takie samo jak przedtem. Nrana nie znał słów określających delirium i paranoję, ale potrafił dostrzec różnicę między nimi.

Ziemianin nie był już szalejącym maniakiem, a Nrana popełnił bardzo powszechny błąd, błąd często popełniany nawet przez bardziej cywilizowane istoty niż on. Myślał, że paranoja jest poprawą w stosunku do bardziej generalnego szaleństwa. Mówił więc dalej, mając nadzieję, że Ziemian również zacznie do niego mówić, i nie rozpoznał niebezpieczeństwa tkwiącego w jego milczeniu.

– Witamy pana, panie Ziemianinie – powiedział do niego, – i mamy nadzieję, że będzie pan chciał zamieszkać pośród nas, tak jak to zrobił Nasz-Ojciec, pan Gerhardt. Uczył nas w jaki sposób mamy czcić prawdziwych bogów w niebie. Jehowę, Jezusa oraz ich proroków, ludzi przybyłych z nieba. Nauczył nas modlić się i kochać swoich nieprzyjaciół.

Nrana ze smutkiem pokręcił głową.

– Ale wielu ludzi z naszego plemienia powróciło do starych bogów, okrutnych bogów. Oni mówią, że między przybyszami wybuchła wielka wojna i na całej Wenus nie został żaden z nich. Mój ojciec Alwa i ja, cieszymy się, że przybył do nas kolejny. Będzie mógł pan pomóc tym z nas, którzy powrócili. Może pan nauczyć nas miłości i życzliwości.

Oczy dyktatora zamknęły się. Nrana nie wiedział, czy zasnął czy nie, ale cicho wstał, żeby wyjść z chaty. W wejściu odwrócił się jeszcze i powiedział:

– Modlimy się za pana.

A potem radośnie wybiegł z wioski, aby poszukać innych, którzy zbierali jagody bela na święto.

Kiedy, razem z kilkoma z nich, wrócił do wioski, Ziemianin zniknął. Chata była pusta.

Na zewnątrz wioski, znaleźli w końcu ślad jego przejścia. Ruszyli nim i doprowadził ich on do strumienia, poszli dalej wzdłuż niego, dopóki nie dotarli do zielonej sadzawki, która była tabu. Nie mogli więc iść dalej.

– Poszedł w dół strumienia – odważnie stwierdził Alwa. – Szukał morza i plaży. Jego umysł musi więc być już zdrowy, ponieważ wiedział, że wszystkie strumienie prowadzą do morza.

– Może, tam na plaży, ma statek-latający-po-niebie – z troską powiedział Nrana. – Wszyscy Ziemianie przybywają z nieba. Tak nam powiedział Nasz-Ojciec.

– Może kiedyś do nas wróci – odparł Alwa. Oczy lekko mu powilgotniały.

Pan Smith wrócił do wioski szczęśliwie i dużo szybciej niż tubylcy śmieli mieć nadzieję. Prawdę mówiąc tak szybko, jak tylko był w stanie pokonać na piechotę trasę do baraku i z powrotem. Wrócił ubrany w zupełnie inne rzeczy, niż odzież noszona zazwyczaj przez innych białych ludzi. To jest, miał na sobie lśniące skórzane buty, mundur Straży Galaktycznej i szeroki skórzany pas, z kaburą na pistolet igłowy.

Jednak, kiedy o zmroku wkroczył na teren wioski, sam pistolet spoczywał w jego dłoni.

Oznajmił:

– Jestem Numerem Jeden, Panem całego Układu Słonecznego, i waszym władcą. Kto jest waszym wodzem?

Alwa był właśnie w swojej chacie, ale usłyszał wiadomość i wyszedł na dwór. Zrozumiał słowa, które przed chwilą padły, ale nie ich znaczenie. Odparł:

– Ziemianinie, witamy cię z powrotem. To ja jestem wodzem.

– Byłeś wodzem. Teraz będziesz służyć mnie. Wodzem będę ja.

W starych oczach Alwy, widać było silne oszołomienie dziwaczością tej całej sytuacji. Powiedział więc:

– Będę ci służył, dobrze. My wszyscy będziemy. Ale to nie jest przyjęte, aby Ziemianin miał być wodzem...

Szmer pistoletu igłowego. Pomarszczone dłonie Alwy przesunęły się na jego chudą szyję, gdzie, niemal na samym środku, nagle znalazła się mała dziurka po ukłuciu igły. Po ciemnym błękicie jego skóry, spłynęła cienka stróżka czerwonej krwi. Kolana starego wodza ugięły się pod nim, kiedy uderzyła go fala trucizny z wystrzelonej igły, i upadł na ziemię. Pozostali podbiegli do niego.

– Z powrotem – powiedział pan Smith. – Niech umiera powoli, tak byście wszyscy dobrze widzieli, co się stanie...

Ale jedna z żon wodza, która nie rozumiała mowy Ziemi, już unosiła głowę Alwy. Ponownie zaszumiał pistolet igłowy i upadła na wznak, w poprzek niego.

– Jestem Numerem Jeden – ponownie powiedział pan Smith, – i panem wszystkich planet. Każdy, kto mi się sprzeciwi, umrze...

Wtedy jednak, nagle, wszyscy ruszyli w jego stronę. Nacisnął palcem na spust, i czterech z tubylców upadło, zanim lawina ich ciał powaliła go na ziemię i zupełnie przykryła. Nrana był pierwszy w tej fali, i Nrana zginął.

Pozostali związali Ziemianina i wrzucili go do jednej z chat. Potem, kiedy kobiety zaczęły łkać nad ciałami zmarłych, mężczyźni zebrali się na radę.

Wybrali na wodza Kallanę, który stanął przed nimi i oświadczył:

– Nasz-Ojciec, pan Gerhardt, oszukał nas. – W głosie Kallany słychać było lęk i zmartwienie, a jego niebieska twarz była pełna troski. – Jeżeli to naprawdę ma być ten Pan, o którym nam opowiadał...

– On nie jest bogiem – sprzeciwił się inny. – To jest Ziemianin, ale kiedyś na Wenus było wielu, wielu takich jak on, którzy przybyli dawno temu z nieba. Teraz wszyscy oni są martwi, pozabijali się w walkach między sobą. To dobrze. Ten jest ostatnim z nich, ale jest szalony.

W ten sposób rozmawiali długo, i zmrok zmienił się w noc, zanim ustalili to co muszą zrobić. Blask płomieni ognisk połyskiwał na ich ciałach, a bębniści czekali w gotowości na koniec narady.

Problem był rzeczywiście trudny. Zrobienie krzywdy komuś, kto był szalony, stanowiło tabu. Jeżeli naprawdę był bogiem, to było jeszcze gorzej. Pioruny i błyskawice z nieba, mogłyby zniszczyć całą wioskę. A jednak nie śmieli go wypuścić. Nawet jeśli zabrali mu tę złą broń-która-z- szumem-wysyłała-śmierć, i zakopali ją głęboko pod ziemią, to mógł

znaleźć inne sposoby, aby im zaszkodzić. Mógł mieć jeszcze inną broń, tam skąd przyniósł tę pierwszą.

Tak, to był trudny problem, ale w końcu najstarszy i najmądrzejszy z nich, M'Ganne, znalazł odpowiedź.

– O, Kallano – powiedział, – oddajmy go *kifom*. Jeżeli one wyrządzą mu krzywdę... – stara twarz M'Ganne wykrzywiła się w bezzębnym, pozbawionym wesołości uśmiechu, – ... to spadnie to na ich głowy, a nie na nasze.

Kallana wzdrygnął się.

– To przecież najstraszliwszy ze wszystkich rodzajów śmierci. A jeżeli on jest bogiem...

– Jeżeli on jest bogiem, to *kify* nie zrobią mu krzywdy. Jeżeli jest szaleńcem, a nie bogiem, to nie my go skrzywdzimy. Przywiązanie człowieka do drzewa, nie jest przecież dla niego żadną krzywdą.

Kallana długo się zastanawiał, ponieważ chodziło tu o bezpieczeństwo jego ludzi. Zastanawiając się, przypomniał sobie również śmierć Alwy i Nrany.

W końcu powiedział:

– To prawda.

Czekający bębniści zaczęli wybijać rytm zakończenia rady, a ci z mężczyzn, którzy byli młodzi i szybcy, zapalili pochodnie od ognisk i wyruszyli do lasu, żeby szukać *kifów*, nadal pozostających w porze marszu przez dżunglę.

Po pewnym czasie, znalazłszy to czego szukali, wrócili do wioski.

Zabrali potem ze sobą Ziemiannina, i przywiązali go do drzewa. Tam zostawili go, kneblując mu usta, ponieważ nie chcieli słyszeć jego wrzasków, kiedy nadejdą *kify*.

Szmata, która stanowiła knebel, oczywiście także zostanie zjedzona, ale do tego czasu nie pozostanie już pod nią żadnego ciała, które mogłoby wydawać z siebie wrzaski.

Zostawili go, i wrócili do wioski, a bębny podjęły rytm przebłagania bogów za to, co właśnie zrobili. Ponieważ, jak dobrze o tym wiedzieli, znaleźli się bardzo blisko granicy złamania tabu -- ale powód był ważny i, jak mieli nadzieję, nie zostaną za to w żaden sposób ukarani.

Bębny dudniły przez całą noc.

Przywiązany do drzewa człowiek zmagał się z krępującymi go sznurami, ale były one za mocne i jego szarpanina spowodowała tylko silniejsze zaciśnięcie się węzłów.

Oczy przyzwyczyły się mu do ciemności.

Próbował wykrzyczeć:

– Jestem Numerem Jeden, Panem wszystkich...

A potem, ponieważ nie był w stanie krzyczeć, nie mógł również uwolnić się, pojawiły się szczeliny w pancerzu jego szaleństwa. Przypomniał sobie, kim jest i wszystkie stare demony nienawiści i goryczy, zwały się na niego ponownie.

Pamiętał również to, co się stało wcześniej we wiosce, i zastanawiał się, dlaczego wenusjańscy tubylcy go nie zabili. Dlaczego, zamiast tego, przywiązali go tutaj i zostawili samego w ciemności dżungli.

Z oddali dobiegało dudnienie bębnow, które brzmiały jak bicie serca nocy, a towarzyszył mu głośniejszy, bliższy odgłos pulsowania krwi w jego uszach, w miarę jak ogarniał go coraz silniejszy strach.

Strach, ponieważ już wiedział, dlaczego go tutaj przywiązali. Straszliwy, płaczący myśli lęk, ponieważ po raz ostatni, maszerowała przeciwko niemu armia.

Miał czas, aby posmakować tego strachu dogłębnie, w najwyższym stopniu, aby stał się on pełzającą pewnością, która wślizgnęła się do najczarniejszych zakątków jego duszy, tak jak żołnierze zbliżającej się armii mieli wślizgnąć się do jego uszu i nozdrzy, podczas gdy w tej samej chwili inni będą wyjadać jego powieki, aby dostać się do znajdujących się za nimi oczu.

Wtedy, i dopiero wtedy, usłyszał dźwięk brzmiący jak szelest suchych liści, w wilgotnej, czarnej dżungli, gdzie nie było żadnych suchych liści, które mogłyby szeleścić, ani wiatru mogącego nimi poruszać.

Straszne było w tym, że Numer Jeden, ostatni z dyktatorów, nie zwariował ponownie, a przynajmniej nie do końca, tylko śmiał się, i śmiał, i śmiał...

KONIEC